Przyjaciel Ludu.

Rok szósty. **No. 50.** **Leszno,** *dnia* 13. *Czerwca* 1840.



Albrecht Fryderyk, książę pruskie.

Jaśko Narębski.

Ustęp powieści z wieku XVI., napisanej przez J. J. L.

1.

Jeszcze dobrze było zmroczno, a już na dziedzińcu uwijała się czeladź, woły zganiano z paszy, a konie z trawnika, z owcami czekano, aże rosa opadnie: dziewki kręcą się wedle dójnika, a nie jeden parobeczek radby za niemi puścić się na gzy, alež gospodarz, pan Wojski Ziemski był takož na dziedzińcu, i dawał zlecenia rządzcy. Na drzewach zmrok gęstszy, niž na świecie, — ciemni dodawała gęstwina, — a słońce było jeszcze za głęboko, by owo i z tamtąd noc wypędzić. Po wśi pies jeszcze kiedy niekiedy tylko się odezwie, gdy włódarz z chałupy wyganiał na pańskie. Na niebie mgławo, a przed się gospodarze brali się rączo, a wesoło ku robocie, bo to wczora słonko czysto zaszło, pogoda więc była pewna.

Dziedzic wrócił doma, przechadzał się po izbie, a widno było niepokój i na twarzy i w całym ruchu.

„Matko, Jejmość!“ odezwał się do žony, i znowu przechadzał się w rannym szarafanie płóciennym po izbie, a snać przypadło coś onemu na serce, abo že dręczy go sumienie.

„Co pan mój mi rozkaže?“ odrzekła gospodyni domu.

„Ot sny, sny, rzeką ludzie, śni się i prześni, i ja takož z razu myślał..., ale już przez kilka nocy staje mi mój kochany brat Jaśko we śnie, ot i dziś znowu...“

I zasiadł przy stole smutno, założywszy nogą na nogę, uchwycił kolano założonemi rękoma, pochylił głowę, puścił myśl, — może iž o tamtym świecie rozmyślał? može o swym bracie? boć któž kiedy zbadał myśli ludzkie?

Žona niespokojna dopytuje się go o sny o ś. p. Jaśku, bracie mężowym.

„Pragnałem raz go jeszcze, choć we śnie obaczyć, alež matko, coś mnie wszytkiego niespokojno—.“ A tu westchnął głęboko, wstał, począł się znowu szerokim krokiem po izbie przechodzić. „Panie, świeć nad duszą jego! śniło mi się zaonegdany, žechmy oto byli na weselu Państwa Niebožęckich, i žem je swatał

z jego Kachną; to znów, że była Wielganoc, i jachaliśmy na rezurekcyją do kościoła wspołem, jam leżał krzyżem przed Panem Jezusem przed grobem, a on poszedł przed nagrobek nieboszczki matki naszéj, i zatrząsł się cały kościół, by się walił, a kamień odwalili dwaj dziadkowie w bieli; wtém wszystkie co do jednéj pogasły świece w kościele, kromia jednego kaganka, co gorzał przed grobem, ten zasię jął rość w dziwnéj jasności światła, i wszystek kościół się rozwidnił, a u grobu wszczęło się czerwienią, jako krew czerwienić— a matka nasza przystąpiła do mnie tak, jakom ją pochował, i rzeknie: Bartoszu, synu mój, oto masz brata twego! a ja rozpłakałem się, a nie wiem, co się już ze mną daléj stało — a tu ciężko przebudziłem się. A oto znowu, iże napierał się mego gniadosza Jelonka odemnie, to by onemu je podarować, to by mu przedać, bo chciał iść na Wołoszą na wojaczkę, i jużem chciał mu go dawać, ale Wasze..."

A wtém zaniemał, by mu mowy już na więcéj słów niestało; przechadzał się po izbie dobrą chwilę jeszcze barzej niespokojny, a zatem rzecze do żony: „Każ Jejmość dawać polewkę, a nagotuj potrosze wędzonki, chleba a masła w jaszczyk, i banieczkę piołunkówki, pojadę do Lublina, trza jechać; książę pruskie będzie składać hołd królowi naszemu, a nam Rzeczypospolitéj — a by onemu kto wzbraniał, odzewnął się po chwili z całą powagą; i cóż? trochem w niemocy, ale spać nie będę."

Długich rozprawiań nie było — pan kazał, żona wszystkiego przyrządziła wedle jego rozkazania. Pan Wojski począł odmawiać ranne pacierze, zatem Anioł Pański, zatem Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie! a modlił się wszystkiem sercem, z całą gorącością ducha! Służąca przyniosła polewkę piwną, śmiotaną zabijaną; po śniadaniu przywdziawszy na się odświętny żupan i kontusz, ruszył wierzchem traktem na Lublin. Żona odjeżdżającemu rzekła: „choćby Jegomość dać na Mszę Świętą, abo na wotywę do OO. Dominikanów za ś. p. brata?"

Słonce pięknym różowym kręgiem zaczęło się wymykać z pod ziemi, i nagle wszystko stworzenie prawie ozłocone, i wierzchy lasów zarumieniły się słodkim rumieńcem, i wszytko jęło ku nowemu życiu przychodzić, wszystko jak na raz rzeźwiejsze i nalichszy kwiatek, i co nalichsza trawka wdzięcznie uśmiechnęły się, by dziecina do jakiego błyszczącego gościńca, co mu rodzic przywiezie, a z daleka ukaże, tak one wejrzały ku słońcu! Zboże dojrzewało, czekało jedno sierpa; tam gdzieś odezwała się niektóra przepióreczka, a pod samem Niebem że go nie dojrzyć, wyśpiewywa sobie jaka ptaszyna, sobieli czy stworzeniu? Bóg to sam wie jedyny, a na prawo gościńca za krzą na łące zamachują kosiarze kosami rzędem, by co wojennego, a zań jakiś kapotowy na koniu, a za wszytkimi prawie bez mała wszytkie pilnujący, stąpa na wysokich nogach, pokiwując dziobem, pan bociek. Łąka pachniała zielem przeróżnym wonnym, kwieciem zasypane, wszystko prześliczne, pełne roskoszy, do pocałowania a pieszczenia się! a pan Wojski Ziemski przed się niebaczy tego, iże mu to nieobce, abo co pewniéj — boć czyjesz serce niezadrżałoby do takiéj uciechy całego stworzenia! abo co pewniéj, iż był zamyślony, abo smutny po swym kochanym bracie, zmierzał prosto ku Lublinowi.

Zjazd ci to był zjazd pod owe czasy w Lublinie? Bóg wie, kiedy taki drugi będzie!?! Cała Rzeczpospolita zjechała się na Lublin, bo to sejm był: „Połączenie wieczyste Litwy z Koroną!"... Już wszystko było postanowiono; szlachta i wszyscy zostali się byli jeszcze od sejmu, nasz Wojski, jedno co odjechał, abo drugi, iże mu to niedaleko było, a ktemu, boć i ciężko się było podówczas pomieścić, gospody drogie bezmiernie, a i tych niedostać, tak strasny był nacisk luda! Jak Polska Polską, niebyło jeszcze, niebyło tak licznego zjazdu nigdzie, przenigdzie! ani w Koronie, ni téż na Litwie, chyba jeśli co, to jedno mogło być w onem zawołanem mieście Gnieźnie za onego naszego napierwszego przodka Lecha, a i to kto wie, a wszystko w niewidzianym nigdy w téj przezacnéj Rzeczypospolitéj przepychu! Jeden się przesadzał na drugiego; ten się pięknie ubrał, a owo ten jeszcze okazaléj; ten z włoska, a ten żywy Hiszpan; drugi ma suty kontusz, a drugi jeszcze świetniejszy! u drugiego na głowie włoski birecik ze strusiem pierzem opadającem ku dołu, a u drugiego polska czapa zwieśista; ówdzie z brodą a wąsy sierdzistemi, a drugi jedno co z wąsami a półbrodą z hiszpańska, a tamten znowu cale ogolony. Owo ochędostwa pełno! Aza chciałbyś ujrzyć świat wszytek ruchający się w swéj przeróżnocie, nielza jedno co było ci być tam pod owe czasy! Ruch na uliczech nieprzebrany: tam husarz w stal cały okuty widzi się, że niedosiedzi na dzianecie, abo na natolskim rumaku odziany tygrysem z orlemi skrzydły oprawnemi w srebro, zwiniętemi w górę do lotu, istny Bóg jaki zwycięztwa, to czoło polskiéj Rzeczypospolitéj, to jéj synowie są, stróżowie jéj zdrowia a wolności, a przy boku ich kopije białe z czerwonem za wiatrem płynące na kopijnicach biało więc czerwono prążkowanych z pozłotą. Owo z rogu wyjeżdża poczwórna koleba pana Krakowskiego, drugdzie pędzi poszustna pana wojewody lubelskiego, a druga znów wymija się prawie z drugą, jakiego tam posła zagranicznego, abo Bóg wie już kogo, a wszystko konie przecudne, koń w konia, a rzędy na nich od jedwabiów, i od złota a srebra a drogich kamieni! Tam się kręci niektóry szlachcic na jakiéj żwawéj szkapinie, a wszędy myśl dobra, wesołość i ochota, wita-

nia, wypytywań a naradzań się co nie miara. Tam się gładka mieszczaneczka przewinie wystrojona by do ślubu, w sajanikach abo kasyjtkach jedwabnych hatłasowych, a to wszystko z wymysłami; przez biodra szczerozłote łańcuszysko o mało nie wiele, że po ziemi się to niewlecze, uderzając po nogach tę bogactwa niewolnicę — a wedle szyjéj jakie teperele! Hej córo Krezusowa, pomyślał se tam nie jeden w duchu, nadałabyś się mi, nadała! nieuciekaj dziewko! dziewko urodziwa! wsparłabyś chudobę moją swoim wątkiem, a niepoślednim dostatkiem. A jeżeliś nieświadom Lublina, a wszedłbyś doń owego czasu, zginąłbyś jako w lesie, jako kropla wody w morzu, gwoli takiemu zbiegowi luda!

Dzień był już jak wół. Nasz Wojski Ziemski wjechał do Lublina krakowskiém przedmieściem, mało go i owa serdeczność ludzka obchodziła, przejechał przez bronę, wyrządziwszy uczciwość męce pańskiéj po nad broną zamieszczonéj, i zajechał na Korzec do Abrahama arędarza — uwiązał konia w onéj gospodzie, a zaleciwszy pamięć o nim panu Abrahamowi, sam pobieżał co prędzéj do wielebnych OO. Dominikanów, dał na wotywę za duszę ś. p. Jaśka, swego rodzonego brata, wysłuchał Mszy Świętéj przed obrazem Świętego Jana Kantego, odmówił różne modlitwy i pacierze za umarłych i *Dies irae, dies illa*, a zatem wyszedł na krakowskie przedmieście.

Już i myśl lepsza u niego, potkał się z kilku braci szlachty swego powiatu, i z co nieco Wielkopolan, — owa kilkoro Litwy i inni drudzy, a po staremu zwrócili się do Abrahama na Korcu arędarza między szlachtą zachowałego, a te znów powiedli kilku będących sobie w rodzie, owa gromadką zasiedli ławy w izbie Abrahamowéj na tyle, a szlachty była pełna izbica.

Zastaw ino tu, panie Arędarzu, nam jeden garniec, abo trzy! bo to po suchemu na czorta się zdało; juźci pogwarka i miléj idzie; jedni o gospodarstwie, iże to się na uczciwe żniwo znaczy, a inni iże ciężkie czasy coraz to barziéj cisną człowieka, abo o taniem zbożu, bo to już czemu zwyczaj; daj gospodarzowi dwa złote za korzec lubo pszenice, lubo żyta, a on ci na to rzecze: iże to nie siła, radbych widzieć trzy złote wyliczone; wiliczysz trzy, a juźci i tego mu niedość. Jaka to chęć ludzka na pieniądz! abo też iże się bardzo przebiera u niego pieniędz w mieszku, bo już niewiem, co na to rzec. W innym końcu szlachta gawędzi, iże to Rzeczpospolita jest we wielkiem zachowaniu między krześciańskimi monarchijami, a w innym końcu szerokiéj izbicy siedział Wojski nasz, Borowski, Kamieniecki, abo inni drudzy, popijają na dobrą myśl; Borowski rzecze:

„Panie Wojski! tydżem niedaleko siebie, trzaby się przed się co bardzéj przybliżyć, abo pójść z sobą w ród; wszakoż Borowscy Wszecinéj krwie Mości Wojski niepowstydzą?"

„A broń mię Boże! jakom żyw nic mi nigdy takowego przez głowę nieprzeszło! Panie bracie! Waść szlachcic, jam szlachcic! ale dzieciny moje drobne, sam żeniatym, brata miałem, ale już go niema, a i on był zaręczony, dziewka jego ono w zakonie..."

„Ha, i moje dzieci jeszcze nie rosłe, mamć i ja dwie siestrze, jedna wdowa, białogłowa gładka, młoda i rządna, a druga jeszcze dziewka, też jéj Bóg nieodmówił urody — ale postanówmy co o naszych dzieciach? No, panie bracie Wojski! moja Marynka żwawe dziecko, niczego będzie dzieweczka, matka zaprawia ją do gospodarstwa..." A wtém weszła rozmowa o czynieniu hołdu księcia pruskiego Rzeczypospolitéj — jedne mówią: że muśi klęczyć, jako owo rodzic jego w Krakowie tak czterdzieście z górą lat temu; drudzy rzeką: że nie, a jeżeli klęczyć, to tylko na jedném kolanie. Za ostatniem trzymał Włyński, Wierzchlejski a inni, a inni znowu upierają się do ostatniego; jako widzieli drugie hołdy u obcych, a jedno na jednem kolanie klęczeli, i już do zwady gotowa; ale Konopka bywalec, stary dowcipski, tak rzecze: „Miłe rycerstwo, panowie bracia! Prze zdrowie Zygmuntowe, króla naszego polskiego!" a już szlachta dzbany dzierże w garście, każdy w swą, póki mu niedość. „Owo rzecz taka, panowie bracia, u obcych może i na jednem, bo tam jednemu hołduje, gdzie w ziemi niewolstwo; a u nas po staremu na dwóch, naszemu królowi, a nam Rzeczypospolitéj! owo co wpadło komu do głowy, byle daléj." Drudzy znów rozumowali o przyszłości: „co to będzie z miłą Rzecząpospolitą po śmierci zaszłego już w lata króla Zygmunta? iże to niejedność roztargiwa ciało Rzeczypospolitéj; zwady między panami pełno, a między pany znów a księżą, owo, że święta wiara w zachwianiu, a król polski wielkie książe litewskie obecne, ostatnie jest z mężczyńskiego rodu Jagiełłów!" Zasmuciła się co nieco cała gromada, a Wojski tak rzecze:

„Już to, że ten nasz król dokonał téj zacnéj sprawy połączenia wieczystego Korony a Litwy, to co prawda siła mu winne obie Ziemice, jako jeden duch, tak dziś za jego dziełem i jedno ciało. Każden tamoj ma sobie krewnego, drugi niektórego znajomego, Korona powzięła serce ku Litwie, i Litwa pokochała się w Koronie; snadniéj będzie nam teraz, czy to spatrzyć Tatara, abo tłuc innego wroga, już i ochota będzie lepsza."

„Co tam ochota, ochota!" ozwie się Wierzchlejski, „abo to Koronie schodziło kiedy na grzecznych ku mieczu chłopach?"

„Ale ale daj no Wasz Mość, panie bracie, pokój," rzeknie Wielowiejski Małypolak Krakowiak, „już to co czterech, to nie dwóch; weźże Wasz Mość panie bracie miecz; tniesz

Moskala jedną ręką? jużci ledwie go razisz, bo to ma kark twardy, a oburącz, a już dwie połcie zeń mieć będziesz. Owo Korona prawą, bo to już Korona, a Litwa lewicą będzie naszéj Rzeczypospolitéj.″

„Słuszna! słuszna! panie bracie, oburącz na Moskwę! oburącz!″ ryknął jakiś tam z końca, co jedno posłyszał że dzwonią, a niewie gdzie, a snać onemu Moskwa dopiekła do żywego, kiéj się tak zerwał.

„Ot i Waszmościn, panie bracie Wojski, rodzony,“ rzecze daléj Wielowiejski, „miałbyli był z sobą czterech? pewniejsze by jego gardło było, i niestraciłaby Polska takiego chłopa uczciwego, byłem ono i ja tam. Wiekopomne to dzieło naszego Króla!″

I znów nieszczęsna myśl przypadła Wojskiemu do serca, by mu niewiedzieć, co się stało! a któż mu ją oderwie? zakwasiła mu wszystek wczas ochoczy, jako ono kamień przytłaczający kwiecie!

„Hano Litwin tam stoi; coś tam pije po swojemu Mazurom.“

„A bo co, cóż wam panowie bracia Litwa?″

„Co Waść myślisz o Unijéj?“

„Źle wam z Litwą? abochmy to nie braty? nie jednéj matki dzieci? kędyście byli przed Jagiełłą naszym?″

„No no Litwinku!″ ozwie się Gałężowski, „bo to stary gaduła: plecie trzy po trzy, jako ono o żelaznym wilku. Słyszcie tam, panie Harendarzu, wynieście jeno nam tu niektóry garniec. — Litwy zdrowie! prze Litwinów zacnych braci!″

„Wrzali na wieczyste połączenie Obojga Ziemie nasze Pany; bruździli królowi w jego zacnem dziele, wszakoż na zatem lepiéj nam wżdy będzie. Prze królowe zdrowie!″ i szły zdrowia za zdrowiami; Litwa piła prze Korony! Korona prze Litwy! to znów wieczystéj zgody więc jedności! to znów kochajmy się!

„A Waść panie Wojski, co Waszeci? co Waszeci?″ przybiegło kilku, a dopytują się, „przez Waść panie bracie taki trudny ku ochocie!″ ale by onemu słowa marzły na uściech, jakby niesłyszał, i oczu nań niezwraca nawet. Ach! ztrudna przychodzi myśl dobra, gdzie żałość na prawdę serce gniecie....

Wtém wchodzi do izby z wierzchu niby pół Turka, pół Żyda, pół Polaka, chłop za półtora wzrostem, i tak rzecze:

„Kłaniam, panowie bracia! a niema tyż tu jakim razem między wami Wojskiego Narębskiego?″

„A jušci go w lesie nie będziesz szukał, ino tu!″ odrzekł niektóry Ryczgórski, Sulimczyk Litwin.

Za pierwszém wejrzeniem na się, poznali się braty! a nasz Wojski i słowa przemówić niemoże; obłapili się po bratersku wszytkiem sercem, pobeczeli się po staremu, jak bobry, szlachta patrzy poprostu pogłupiała, a ci jak się całują tak całują braterskim uściskiem a szczerością, a łkaniu końca niema!

„Ale bo! ale bo! Bracie Jaśku, Waść w zdrowiu! braciszku!″ i znów beczeć, całować się; „ja Waści braciszku sprawił już nabożeństwo, a ja cię oglądam! ja dziś dał na wotywę za Waści Jaśku mój!″

„Taka boska wola, że zdrów przychodzę, a Pan Bóg zsyła mi pocieszenie, iż cię takoż zdrowym miły mi Bartoszu widzę i was, panowie bracia;“ rzekł, a wtem łzy mu świerczkiem stanęły w oczach, a ono w owych łzach cała niewola tatarska, i wszytka miłość jego przeciw cnéj ojczyznie, i wszystkę serdeczność jego ku bratu, i ku braciéj szlachcie, i całą chciwość boju, i wszystko wszytko ujrzałbyś w onym urodziwym chłopie Narębskim Janku Złotogoleńczyku!

„Bracie Jaśku, czy mię oczy niezwodzą, Wasze żywiesz!?″ a wtém Sierociński:

„A Panie bracie i do nas należysz, i nam serce rado, widząc zacnego brata mego sąsiada!″ i całowali się, ściskali, „bo raz: że to już to jakoś; kiedy ochota, już serce na wierzchu, a tyż tego niezajrzyć nigdzie u żadnego drugiego narodu, jedno co na naszéj ziemicy porosła wysoko serdeczność owa a otwartość!″

„A jakimż to obyczajem Jaśku zwiastujesz mi tę szczęsną godzinę?″ Jeszcze się raz obłapili, i popłakali bracia płaczem radości rodzica nad nowonarodzonem dziecięciem; łzami brata nad powróconym do żywota bratem!

Popłakało się i kilkoro szlachty, boć jakżeż pod takowe czasy nie zapłakać?

„Mnie mówili wszyscy, że Wasze już gardło położyłeś; jeździłem, dopytywałem się, a ono każden, że Wasze Jaśku nie żywiesz!″

„Ot tak na tym tu świecie — jęli mie Tatary, a oto za zaleceniem wojewody wileńskiego a łaską królewską, abo królownéj Hanny wolen uczynion jestem, po prostu, zapłacili za człowieka.“

„Panie bracie! Abrahamie dejcie jedno tu zapomogę! prze królowe zdrowie a królewnéj Hanny! prze zdrowie Waszecine bracie Złotogoleńczyku! co gardłem swem bronisz zdrowia miléj ojczyzny i wszystkich takich, jak ty, panie bracie!″

„Ho ho, panowie braty! mam ja tu jeszcze cosik na zakąskę, ale to tego nie siła będzie, trzaby pomyśleć o czem więcéj. Panie harendarzu, przynieście jeno kukiołek, tylko co dość! obliczcie na nas wszystkie.“ Wybieżał i przyniósł dwa kapłony sążniste; „oto służę czem mogę panom braciom, oną pracą méj Jagusi.″

„A prze Bóg! a to prosięta, nie kapłony!″ odezwało się kilku.

„Prosię jak prosię, ozwał się Konopka, ale patrzy by kiepski indyk!″

Owo poznosił każden, co miał ze sobą, i za-

stawiony był stół przeróżnem jedzeniem, a ktemu jeszcze harendarz wysuł na stół całe poły kukiołek — patrzało to by na Święta Wielkanocne, jedno co bez nakrycia i bez ziela. Przypięła się szlachta do owego jadła, a nie wyszło i chwili, a i mucha niemiałaby się czém pożywić!

„Byłem u bratowéj, sprawiłem jéj uciechy niemało, kazała mi cię tutaj szukać na korcu, i byłbym tu od pół godziny, ale potkałem wojewodę wileńskiego, opowiedziałem wszystkę mą przygodę, dał pocieszenie człowiekowi sześć łokci teletu na kontusz, i rzekł: iże trzy źrebce mogę sobie wybrać w jego stajni, i kazał mi przyjść na zamek do króla po uczynionym hołdzie o 19 godzinie, mówiąc, iże i onego tam naleść."

„A Waść bez miecza! panie bracie? ja Waści dam swego kontusza, abo pojdziem kupić co gotowego? i jakżeż tam się Jaśku pokażesz? tam będą wszyscy panowie, okropny zabieg wszystkich!"

„Nic to, temci lepiéj, król zajrzy mą niedolę, może uraczy człowieka jakiem pocieszeniem."

„Ale przynajmniéj przypasz sobie miecz mój, cóż tam na zamku rzeką? szlachcic bez miecza! naściże."

„Nie, tak jak mię ono pogaństwo puściło, tak tam stanę."

„Ale braciszku tam wszystek świat będzie, a jeno przygotuj się Waść dobrze, co na co odpowiedzieć, gdzie się tam pytać będą."

(Koniec nastąpi.)

Łowiec.

Gawęda z XVI. wieku.

(Ciąg dalszy.)

Bartosz się skłonił z uśmiechem, i właśnie koguty zażarte rozpoczęły walkę zaciętą. Czerwony pierwszy uderzył, biały się cofnął aż na róg stołu, odpornie się mając; a gdy nacierający w kilkunastu poskokach śmiałych zmęczył się nieco, biały z całą siłą począł uderzać. Teraz zmusił czerwonego do cofania, aż po długiéj bitwie, w któréj i dziobem i pazurami walczono, biały, pochwyciwszy za grzebień przeciwnika swego, począł nim ciągać po stole. Zbroczony we krwi, kiedy się zdołał wyrwać, uciekł ze stołu; a zwycięzca dumnie przeszedłszy pole bitwy, wyskoczył po łożu Strusa na ogród, kędy na płot wzleciawszy, wesoło zapiał, jakby otrębując wygraną.

Struś poskrobał się po głowie: „Zły ze mnie prorok!" i dodał z uśmiechem: „aleć przynajmniéj mój Bartoszek uszedł plagi sforowéj? no stary, wypij tam za moje zdrowie maliniaku, bom przegrał."

Podstoli uradowany, że rana niegroźna, zaprosił go do siebie wraz z Dymitrem. Przyjęli obaj zaprosiny i nazajutrz równo ze wschodem słonka ruszyli w drogę: Strusa posadził w kolasę, sam z Dymitrem konno przed obiadową godziną stanęli przy pierwszym kopcu dziedziny podstolego.

6.

Alea lipowa prowadziła od kopca granicznego aż do samego dworu podstolego. Dwór ten murowany z dwoma wieżami na czole, stał na wzgórzu nad obszerném jeziorem: stary ogród, zabudowania folwarczne otaczały błota i sadzawki; z przodu wał z fossą wysoki, na którym czerwieniał dziki berberys z polną różą, i czerniła tarń ostra. Przedział między fosami zapełniła brama wjazdowa z spuszczanym na łańcuchach mostem, z wyniosłą wieżą, na któréj straż otrębywała przybycie obcego gościa. Na bramie był rok wyryty 1531, snać budowy, i herb Junosza, rodziny, do któréj dwór ten, więcéj do zamku podobny, należał.

Struś pokręcając wąsa: „Na mego Patrona, dwór Waszéj miłości oparłby się tym psom poganom tatarskim; wałów jeno nieco poprawić, ze szmigownic kilka, w rusznicę przystroić piechotę na wałech, bramie; nieco łodzi, by łabędzie ze strzelbą na jeziorko i stawy puścić, a niech z konia spadnę trzeźwy, jeźlibym tu się bał téj szarańczy, choćby jéj było i sześć tysięcy szabel.

Właśnie wjechali w bramę; Struś się zadziwił wielce, widząc, że na wałach ukryte stały działa, a mur wysoki drugi raz wewnątrz zasłaniał dworzec.

„Ho! ho!" wykrzyknął, „com w głowie zamyślił, a tu już wykonano; dobry snać z Waszéj miłości i łowiec i wojak."

Na ganek dworu wybiegła z powitaniem pani podstolina, i córka młoda Marynka: podstoli pozdrowił je serdecznie: „Owoż przedstawiam wam mego dawnego sodalisa, sławnego imienia pana Strusa; a to jegomość pan Dymitr, o którym wspominałem nieraz. Ale dosyć tych ceregielów; każ moja dzieweczko co rychléj nam obiad podać, bośmy strudzeni i głodni."

Dymitr ukłoniwszy się pani podstolinie, spojrzał na Marynkę i uczuł, że mu krew uderzyła do serca i liców: jakby go oblał czerwienią, stał pomięszany, kiedy to dostrzegłszy gospodarz, z uśmiechem uderzywszy w ramię, wprowadził do izby.

Struś opierając się na kiju, uważał pomięszanie Dymitra, rzekł więc doń z cicha:

„Mój młody sąsiedzie! lepiéj pono było łowić drzemlikami żórawie u mnie, albo spotkać się z dzikiem i niedźwiedziem, jak z pięknemi oczyma dziewki. Dymitr nieodrzekł słowa, a znalazłszy napis nade drzwiami, przeczytał go głośno:

W miejscu cnych ojców, cne dziatki usiędą,
Z pracy cnotliwéj ich cieszyć się będą:
Bo niecnotliwie nabyta fortuna,
Tak się w lot zerwie, jak się zerwie struna."

„Dobrato myśl, bo przysolona szczerą prawdą!" wyrzekł Struś.

„Bogdajby (dodał gospodarz) za cnymi ojcami, w ślady ich dziatki poszły. Ale dosyć tego, chodźmy sąsiedzi do stołu, bo już moja pani nas oczekuje."

Struś przy stole zapomniał dyety, nakazanéj przez lekarza; a gdy niewiasty odeszły i zostali sami, wraz z kilką szlachty, na respekcie u podstolego będących, oraz trzech rotmistrzów od ussaryi i z jazdy pancernéj, gęściejsze kielichy zaczęły obchodzić. Żadnego z nich mimo Struś nieopuścił. „Byłobyto jednym z siedmiu grzechów śmiertelnych, żeby być w Rzymie, a Papieża niewidzieć; być u podstolego przy stole, a wina jego niepić."

„A wiesz też mój sąsiedzie, zkąd owo poszło: być w Rzymie i Papieża niewidzieć? Nie! więc powiem. Szedł pielgrzym Mazur, i zaszedł do Rzymu; nie wiedząc, że już jest w Rzymie, pyta pierwszego, co spotkał Włocha: „Cy tędy do Zymu?" „„Non intendo,"" odrzekł zapytany. A pielgrzym na to: „No! kiedyć nie tędy, to tza się wrócić." I powrócił do domu, nic nie widząc."

„Słyszałem tę powieść równie gładko, jak pan podstoli, przez sławnego dworzanina Smolika opowiadaną: o! byłto wesoły i dowcipny dworzanin, jakiego już w rychle niezobaczym wcale.

„Wasza prawda, mój sąsiedzie (odrzekł podstoli); znałem ci go i sam, i pamiętam jego figliki. Pewna pani, chciawszy zażyć Smolika, widząc, że do niéj idzie, kazała wszystkiemu fraucymerowi, którego było nie mało, we dwa rzędy stanąć, przykazując nie tylko nic niemówić, ale ani się ruszyć, chcąc wiedzieć i widzieć, jako w tym razie sobie postąpi. Wchodzi, kłania się pani i fraucymerowi; wszystkie stoją jak wryte, milczą jak nieme. Smolik myśląc, że wszedł między posągi, jeszcze im się raz i drugi pokłoni, aż naostatek postrzegłszy dworstwo, udał się do dworstwa. Zdejmuje suknie, wstęgi rozwięzuje, jakoby chciał ulżyć i wczas sobie uczynić: wtedy gdy już więcéj śmiechu i téj ceremonii wstrzymać niemożono: „Fe! fe!" nań zawołały, a on też jakoby ze wstydem i ze strachem, począł szaty swoje zawięzywać i zbierać."

„Pamiętam (mówił Struś), w podróży z nim razem będąc, stanęliśmy w karczmie. Smolik widząc Żyda, którego znał, a sam był potrzebny, zdjął przed nim czapkę. Gdyśmy mu tę ludzkość jako niepotrzebną ganili, powiedział: „Często to i na większe stany przychodzi, iż nie tylko czapkę, ale i kopeniak, delią, zdjąć przed Żydem potrzeba.""

„Pomnę (wyrzekł podstoli), jak z jedną wielką panią jechał do Poznania, panny więc fraucymery wszystką mu złość wyrządzały w karecie. Smolik siedząc, pomyślał przeto, jakoby to im oddać. I trafił się im piasek wielki, gdzie wszyscy wysiadłszy, musieli iść piechotą. Smolik kazał chłopcu wprzód za krzaczkiem kędy wypróżnić żołądek, a nakryć czapką i na pana wołać, że uchwycił ptaszka. Chłopiec tedy sprawny wnet tak uczynił, jako pan kazał. Przypadnie Smolik i zawoła na panny: „Mam ptastwo! mam!" Panny, jako ciekawe, przybieżały; i kazał im stanąć kołem wokoło téj czapki: jaka taka rączkę włożywszy pod nią, chcąc ptaszka uchwycić, umazały się. Krzykną: pfe! pfe! a jéjmość pyta coto? Smolik odpowiedział: „Ptaszka panny uchwyciły, ale im uleciał, ślad po sobie zostawiwszy." Odtąd cały fraucymer, że mu nie zrówna, dały mu drugi raz pokój. 1)

Struś zagrzawszy czupryny, chciał konia dosiadać na konną gonitwę; gospodarz, aby go uspokoić, rzekł: „Nie, miły sąsiedzie, Waszeć raczysz być sędzią na młodzież; daléj! (zawołał na domowników), niech wyprowadzą konie, my z białogłowami na ganku patrzeć i sądzić będziem."

Przystał na to Struś ochotnie. Hussarze pierwsi dosiedli, za nimi Dymitr.

Była na słupie, w środku podwórza, figura Turka w zawoju, z wyciągniętemi rękoma; w jednéj trzymał pierścień, w drugiéj talar bity: rozpuściwszy konia, trzeba było naprzód kopiją zrzucić mu turban, potém zdjąć pierścień, a kulą z pistoletu wystrzelić talar trzymany. Kto trzy razy tak trafi do celu, miał otrzymać z rąk podstolanki puhar srebrny i szablę damasceńską.

Struś dopijając zaczętéj czary z winem, zawołał na jeźdźców: „No, panowie bracia, naprzód!" — Hussarze naprzód wolno kłusem objechali szranki wokoło dwa razy, za trzecim zniżyli kopije i skoczyli z kopyta; dwaj pierwsi chybili, ale Dębołęcki, rotmistrz ussarski, zrzucił turban: w drugim zapędzie tamci trafili i zdjęli na kopiję pierścień, a Dębołęcki chybił. Patrzył zdala na te wyścigi Dymitr, więcéj oczy mając wlepione w gładką Maryę, a w zadumie czekał, rychło skończą: wtedy podstoli zawołał:

„A nuże, młody łowcze, cóż stoisz niemo?"

Rozbudził się Dymitr, ruszył kłusa, skłonił kopiją przed gospodarstwem, Maryą i Strusem, objechał trzy razy, za czwartym wpędzie zdjął naprzód pierścień, za drugim zwrotem zrzucił turban.

„Wygrał! wygrał!" krzyknął Struś radośnie, „to mi gracz!"

Podstoli poklaskiwał, Marya zarumieniona, z bijącém sercem spuściła oczy do ziemi.

„No! teraz kulą wytrącajcie temu pogani-

---

1) *Co nowego, abo dwór,* broszura z 16go wieku. *Furfanterye dworskie,* z tegoż wieku.

nowi naszego talara: Dębołęcki w pędzie strzelił i wyrwał kulą talara; dwaj za nim jadący podobnież: Dymitr prosił, ażeby i w drugą rękę w pierścień włożono talara; spełniono jego życzenia: wtedy z dwoma pistoletami w ręku puściwszy swobodnie konia, dwoma strzałami wytrącił z dwóch rąk dwa talary!

Ussarze, współzawodnicy, sami przyklasnęli; Struś, z radości, czarę w górę rzucił podchmielony. Podstoli zawołał: „Panowie bracia! pan Dymitr bez sporu zwyciężył; no Marynko, wręcz mu puhar i szablę; ja osobny dar mu zrobię.

„Dymitrze, druhu!" krzyknął Struś, „daléj z rąk panny podstolanki odbierz Waszeć nagrodę."

Dymitr konno stanąwszy przed gankiem, skłoniwszy kopiją, zeskoczył z siodła, i pomięszany, od zarumienionéj Maryi otrzymał puhar i damascenkę. Podstoli zaś ofiarował mu tegoż samego konia, mówiąc: „Widać, że mój dzianet do Waści ręki; niech Wam służy; a pewny, że tak żywym poganom potraficie turbany zdejmować gładko, jako tu drewnianéj figurze! Daléj, podajcie kielicha bez nogi! wina! wznoszę zdrowie zwycięzcy: niech żyje!"

„Niech żyje!" krzyknęli wszyscy razem, i wnet 2 kosze świeżo węgrzyna z piwnicy wniesionego, przelało się co do kropli w gardła obecnych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kronstadt.

Jako dawna Carów stolica, Moskwa, środkowym jest punktem całego wewnętrznego handlu kraju; tak w nowym Piotra W. grodzie, z wszystkich stron świata znajdziesz kupców, towary swoje tutaj zwożących. Obrazek dzisiejszy wystawia twierdzę Kronstadt, miejsce, gdzie się flotta rossyjska na północném morzu zbiera i gdzie okręty obce, do Petersburga dążące, ładują. Ponieważ Newa przy nowéj stolicy państwa, ładownych okrętów na grzbiecie swoim dźwigać nie zdolna, wszystkie statki przybijają wprzódy do Kronstadtu i tutaj ładunki swoje składają. Miasto Kronstadt leży na wyspie półtoréj mili długiéj, a pół szerokiéj, z warownym i mocnym portem, bronionym przez cytadellę, na skale wystawioną, opatrzoną w wszystko, co tylko do wygody i bezpieczeństwa okrętów i żeglarzy służyć może. W roku 1703. przybił tu pierwszy okręt kupiecki z Hollandyi, uprzejmie od Piotra W. przyjęty; w roku 1714. było tu 16 statków, dziś przybywa do Kronstadtu corok 1300—1500 okrętów, po największéj części angielskich, lubo żegluga trwa najwięcéj około 119 dni, t. j. od środka Maja do końca Listopada. W tym czasie panuje w Kronstadzie i całéj jego okolicy, nadzwyczajny ruch i życie; lecz nagle z końcem Listopada zmienia się wszystko, okręty opuszczają port z bojaźni, aby nie zamarzły, kupcy wyjeżdżają do Petersburga, lub innych miast, zgoła myślałbyś, zwiedzając Kronstadt podczas zimy i oglądając pyszne i obszerne miasta budowle, iż połowa przynajmniéj mieszkańców choroby jakiéj padła ofiarą.

Nowe dzieła.

1. **Literatura i krytyka.** Pisma M. G(rabowskiego) w Wilnie. Tomów dwa 1840. O szkole ukraińskiéj poezyi i Literatura romansu w Polsce.

2. **Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy,** przez J. Kraszewskiego. Tomów dwa. Wilno 1840.
Tom I. zawiera: Jarmark w Janowcu, Styr i Horyń, Ossowa Felińskiego; Stepań, osada lernicka; Czartorysk, lasy polskie, gospodarstwo, kawałek drogi przez Polesie, Horodec, Pińsk i Polesie, karczmy, żydzi, drogi, zamki, włościanie, na Wołyniu, Sławuta, Międzyrzecz Korecki, Ołyka.
Tom II.: Łucki, jego historya. Witold, Wołyń, Młynów, Dubno, Ostróg, Książęta Ostrogowie, Dodatek.

3. **Szkice obyczajowe i historyczne** J. J. Kraszewskiego, zawierają powieść: „Całe życie biedna." Wilno 1840.

4. **Dzieła Wiliama Shakspeare,** przekładał Ignacy Kefaliński (Hołowiński). Tom pierwszy. Wilno 1840. Zawiera: Hamlet, książę duński; Romeo i Julia, i Sen w wigilią Ś. Jana, z pięknym wizerunkiem Szekspira na miedzi rytym.

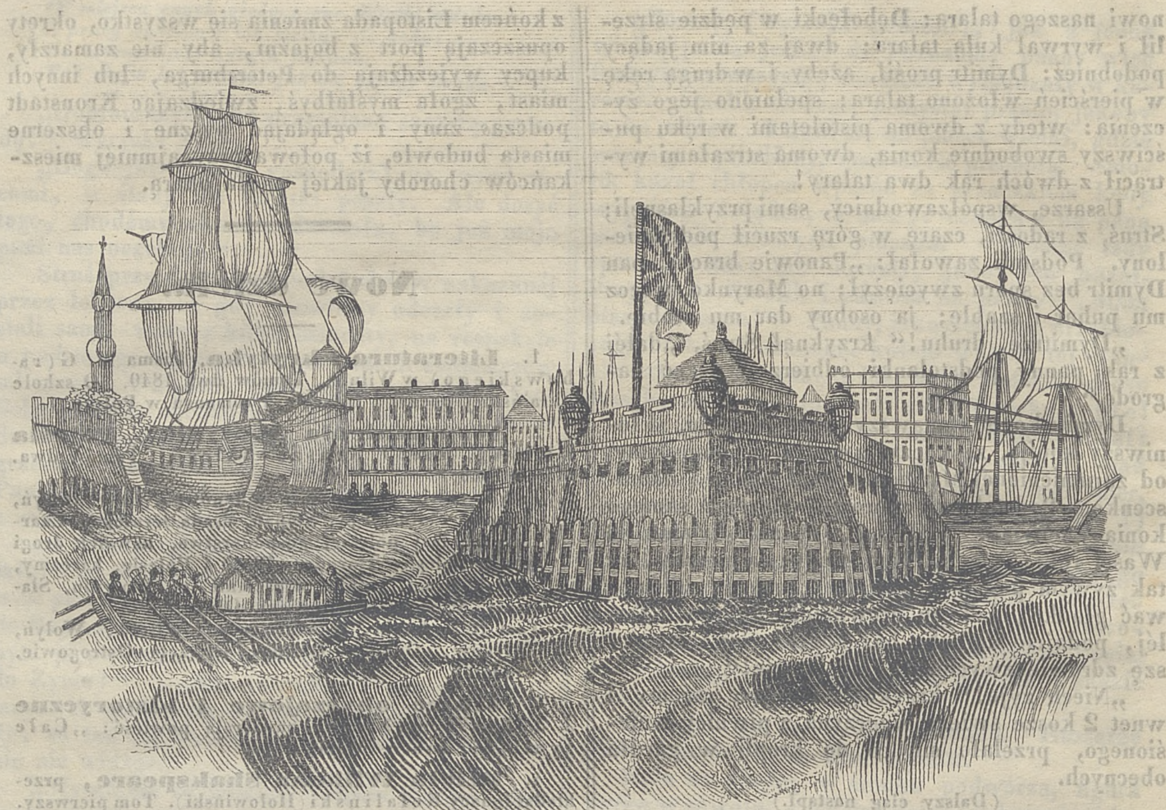
5. **Alleluja.** Rocznik religijny, 1840., w Warszawie, ozdobne wydanie, zawiera: Sceny chrześciańskie, opis historyczny Jerozolimy przez A. księcia Mesczerskiego, fundacya zakonu i kościoła XX. Kapucynów w Warszawie, przez Michała Balińskiego, Fra Angelico da Fiesole, Wielkanoc, Kościół Panny Maryi w Krakowie przez Gawareckiego i kilka innych drobniejszych religijnych obrazów.

6. **Życie Napoleona,** podług najlepszych źródeł, z rycinami na stali rytemi, w Warszawie. Poszyt I. ma dwa staloryty, i zawiera historyą Napoleona od urodzenia aż do zaślubienia Józefiny i początek kampanii we Włoszech.

7. **Przegląd warszawski** literatury, historyi, statystyki i rozmaitości, rok 1840. Zeszyt I. mieści: Rys kształcenia się języka polskiego. Widzenie, gawęda Wojcickiego; poezye, zarysy pożycia, niebezpieczna zemsta, czyli siedm dni. Rozmaitości, to jest kilka słów o literaturze Wiszniewskiego, bibliografii Ad. Jochera, wydawanéj w Wilnie, któréj już 4ty poszyt wyszedł z druku; o pamiętnikach Maciejowskiego, obrazie Poznania J. Łukaszewicza, obrazie Lublina Sierpińskiego, Noworoczniku Pauliny R. i dwóch tłumaczeniach romansów: Snarlej Yow i Jom Kipur. Nareszcie: Gospodarstwo wiejskie Oczapowskiego, ogrody północne Strumiłły, dzieła Kurowskiego, i Galerya obrazowa zwierząt, 2 tomy, Leśniewskiego.

8. **Pamiętniki Jana Chryzost. Paska.** Edycya trzecia. W Poznaniu, nakładem J. J. Heinego, 1840. Wydanie to przewyższa dwie poprzednie edycye pięknością druku i papieru.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Widok Kronstadtu.

Odezwa Wydawcy Przyjaciela Ludu.

Na Numerze 52. Przyjaciela Ludu kończy się szósty rok istnienia tego czasopisma. Starania moje około jego wzniesienia, ocenili już tylokrotnie krajowi i zagraniczni uczeni. Zajęty wciąż tąż samą myślą rozwijania mego pisma, wezwałem do współpracownictwa najsławniejszych pisarzy, którzy nietylko mi pomoc przyrzekli, ale nawet już szacownych i obfitych dostarczyli materyałów, nadających pismu memu rzetelną w wszelkim względzie wartość, a oraz zdolnych czytelnika, szukającego w pismach peryodycznych miłéj rozrywki, jak najprzyjemniéj zabawić. Wszakże usiłowania takowe wymagają z mojéj strony znacznych ofiar i zmuszają mnie do podwyższenia zbyt niskiéj ceny prenumeracyjnéj o 3 złote rocznie, a 1½ zł. półrocznie. — Wszystkie więc księgarnie krajowe i zagraniczne, jako też i królewskie pocztamty, przyjmują przedpłatę na Przyjaciela Ludu, rocznie 3 talary, czyli 18 złp., półrocznie 1 talar 15 sgr., czyli 9 złotych, którą Szanowni prenumeratorowie wcześnie złożyć raczą, niechcąc doznawać przerwy w odbieraniu regularnie wychodzących cotydzień numerów Przyjaciela Ludu.

Leszno, 25. Maja 1840.

Ernest Günther, *księgarz i typograf.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. *(Red. J. Łukaszewicz.)*